

TYGODNIK POLSKI THE POLISH WEEKLY

DZIŚ W NUMERZE:

Michał Choromański
Marta Erdman-
Wańkiewicz
Aleksander Janta
Józef Kisiel
Janusz Laskowski
Felicja Lilpop-Krancowa
Melchior Wańkiewicz

Vol. 2. Nr. 50 (102) Nowy York, 17 grudnia — New York, 21, N. Y., December 17th, 1944 Cena 15 ct.



POLSCY OSWOBODZICIELE HOLANDJI

GODZINA MOCHNACKIEGO

Nazwaliśmy w poprzednim artykule nowopowstały rząd polski "Rządem 29-go Listopada", ze zbieżności dwu dat, biorąc podstawę do analogii która może i powinna stać się programem.

Rewolucja 29-go listopada 1830 roku była zrywem woli narodowej, zawiedzionej we wszystkich najżywszych po upadku Napoleona nadziejach na dobrą wolę cara Rosji i możliwość przyjaznego współżycia Petersburga i Warszawy. Rząd Tomasza Arciszewskiego powstał jako wyraz takiego samego choć w odmiennych warunkach, ale z tej samej strony, zawodu, jako wyraz ugruntowanego na niezbitych faktach przekonania, że Rosja nie chce zgody z Polską, tylko poddania Polski, i że żadne ustępstwa Polski nie są zdolne doprowadzić do tej zgody.

I oto tutaj owe daty zbieżne podsuwają nam naukę, która powinna przewodniczyć wszystkim decyzjom nowego rządu, o której ani na chwilę nie powinni zapominać zwłaszcza nowy premier, minister spraw zagranicznych, i minister informacji, stawiając jej pełnienie przed wszystkimi innymi swymi zadaniami; rząd polski w tej chwili nie może urzędować, tylko ma działać, i działać według tej nauki.

Powstanie listopadowe było spiskiem wojskowym, który przeniósł się na całe wojsko i ogarnął szerokie masy. Masy te instynktownie zrozumiały, że współżycie z Rosją zamienia się nieuchronnie w niewolę i zaadoptowały spisek Wysockiego, przez co spisek ten zmienił się w rewolucję narodową.

Jej koleje znane są każdemu i nauka z nich płynąca jest jednym z podstawowych i sakramentalnych ostrzeżeń naszej historii.

Naród polski w 1830 postawił wszystko na kartę powstania, udzielając wszelkiej pomocy rewolucji listopadowej i stwarzając siłę zdolną w rękach odpowiednich przywódców przy umiejętnej grze zarówno wojennej jak i politycznej zapewnić sprawie naszej zwycięstwo. Tych przywódców jednak nie znalazł ani dla samej wojny ani dla politycznego kierownictwa rewolucji. Ulegając arcy-polskiej skłonności do lekkomyślnego kreowania wielkich ludzi i niesprawdzanemu kultowi uznanych autoritetów, rewolucja listopadowa urodzona z wiary i woli czynu dostała się pod kierownictwo przywódców, którzy nie wierzyli w zwycięstwo i chcieli nie działać tylko negocjować. Zgubili ją temperamentem różni ale jakże wadami podobni, hamletyczny Książę Adam, hamletyczny Chłopicki, hamletyczni posłowie i generałowie; ich hasłem było negocjować, nie drażnić cara, gdy instynkt narodu odrzucał wszelką słabość i jedyną nadzieję widział w sile Polski.

Naród polski okazał w 1830 roku prawdziwą siłę i zdrowie moralne, tej siły, tej czerstwości moralnej zabrakło przywódcą powstania; klęska polska

1831 roku była skutkiem niewiary wodzów w naród i ich przekonania, że zwycięstwo i wolność dadzą się wyprosić.

Historja Polski, patrząc z odległości, która dostrzega niewyżytkane kiedyś możliwości, wie dzisiaj, że nietylko naród polski jako całość trafnie widział w 1830 roku zbawcze dla siebie drogi, ale że wydała też rewolucja listopadowa człowieka miary wyższej, którego myśl zgodna była z tym niezawodnym instynktem ogółu, który zdolny był według tego instynktu działać z najwyższym entuzjazmem, z najgłębszą wiarą i zarazem z najzimniejszą świadomością wszystkich środków skutecznie wiodących do wypełnienia się poruszonych aspiracji narodu polskiego.

Historja wyprowadziła tego człowieka z cienia politycznego bezładu i bezwoli 30go roku, w pracach, których rozmiar i waga, zdawałoby się przenoszą wagę dokonanych przez niego czynów, wydała całą nowość jego metod, całą rzeczowość jego rewolucjonizmu i wskazała na zgodzone w Maurycym Mochmackim dalekosiężną wizję i jasność widzenia rzeczywistości jako na najbardziej własne, twórcze możliwości polskiej myśli politycznej, czyniąc z tego dwudziestoparoletniego niezbyt płodnego pisarza, patrona romantycznego realizmu, który miał zwyciężyć w naszym życiu w kilkadziesiąt lat potem w dziele bojowym P. P. S. i w Legjonach Piłsudskiego.

Wojna listopadowa 1830 roku została przegrana, wie to już dziś każde dziecko, uczące się historii, dlatego, że naród polski, który geniuszem swym trafnie odczuł gdzie jest jego dobra przyszłość, jakie do niej wiodą drogi, i który całą wolę skupił dla zdobycia tej lepszej przyszłości, powierzył rządy nad sobą ludziom, pozbawionym własnego instynktu i dlatego nie czującym też instynktu zbiorowego, tego ludowego geniuszu co uczynił spisek podchorążych wojną narodową; to, że na czele powstania stał nie Mochmacki, a Chłopicki, było właśnie powodem klęski i to na sto lat przedłużyło naszą niewolę.

To proste przypomnienie ustalonych historycznych sądów, jest wskazaniem analogii dla każdego z nas chyba jasnej i zrozumiałej.

Naród polski, jego szerokie masy, o ileż szersze i bardziej świadome niż w roku 1830, wojsko polskie równie bitne, a napewno świetniejszych mające dowódców niż w roku 1830, całym wysiłkiem woli i wszystkich dostępnych im środków, z wiarą głęboką i jasnowidzącą zwycięstwo, walczą dziś o przyszłość nietylko już państwa, ale narodu polskiego, o jego życie zagrożone jak nigdy w naszej historii, walczą świadome wszystkich trudności tej walki, ale gotowe wszystkie te przeszkody przelać. Temu ludowi, dla którego romantyczny realizm Mochmackiego jest dziś nietylko instynktownie

odczuwaną, ale świadomie wyznawaną religją, przewodzić musi rząd romantycznego realizmu pragnący walki, wierzący w walkę i zwycięstwo. Ostatnia nasza godzina przed historycznymi na lata decyzjami jest godziną Mochneckiego. Rząd Tomasza Ariszewskiego tylko wtedy spełni swe historyczne za-

danie, jeśli usłucha dochodzących nas z przed stulecia wezwań i groźb Mochneckiego, jeśli stanie się rządem z jego ducha, rządem świadomej wiary i świadomej walki. Jeśli tem nie będzie, nic jego ani nas nie uchroni od gorszej niż polistopadowa klęska.



GENERAL SOSNKOWSKI

GENERAL SOSNKOWSKI

jeden z twórców polskiej siły zbrojnej, bohater walk o niepodległość i bohater trzech wojen polskich, ukochany Wódz Naczelny Armji Polskiej, obrońca nieustępliwy całości i niepodległości Polski przybył do Nowego Jorku. Mimo, że pobyt Generała ma charakter ściśle prywatny,— Polacy bez różnicy partji i człowi przedstawiciele Polonji Amerykańskiej pośpieszyli wyrazić mu te najserdeczniejsze uczucia, jakie cała Polska dla niego żywi. "Tygodnik Polski" wita gorąco i ze czcią generała Sosnkowskiego, życząc mu aby najrychlej stanął znów na czele swych żołnierzy i powiódł ich do kraju.

JÓZEF KISIEL

JA MUSZĘ BIĆ SIĘ DZIELNIE

*Ja muszę bić się dzielnie i w zaszczytnej walce
Przywracać prawa kraju, te lepsze, te wyżyn...
Zapytany odpowiem: Szlak mój — Bóg swym palcem
Prowadził już za życia — środkiem żywych krzyży.*

*Ja muszę — dniem i nocą pamiętać o długi,
Za braci porzuconych przez złe losy w piekle.
Nie spocznę, aż zwyciężę na Wiśle, na Bugu,
Aż droga mrocznych cierpień znów zabłyśnie w świetle.*

*Ja muszę — gdy trza konać — patrzeć w obraz wizji,
Ostatnim tchem zawołać: — "Jeszcze nie zginęła!"
I cicho krew ofiarną wlać w sławę dywizji,
I prosić, by szła dalej, by mój grób minęła.*

MELCHJOR WAŃKOWICZ (Specjalnie dla "Tygodnika Polskiego")

Kapitan Władysław Drelicharz nie żyje

Korpus ma swoje żołnierskie legendy. Prąd życia i prąd śmierci zderzają się w bitwie. Na powstałym wirze wyniesione — drżą w górze nad wojskiem imiona czczone, uwielbia-

Kiedy czołgi Drelicharza forsowały piekielną gardziel Albanety, słyszało wojsko przez cały tragiczny dzień 12 maja jego głos dowódcy. Gęsto położone miny wielokrotnym



Generał Anders nad grobem Kapitana Drelicharza

ne, kochane. Aż w pewnej chwili zatoną ku ziemi łuk i zgasną. Wtedy ścietymi ustami podają sobie wieść, taką jak teraz — "Drelicharz zginął".

naszyjnikami spinały te dwadzieścia metrów garbku, który należało sforsować. Sapezy, narażeni na ogień broni małokalibrowej z bezpośredniej odległości, ginęli jak muchy. Ba-

TYGODNIK POLSKI

is
PUBLISHED WEEKLY

by
TYGODNIK POLSKI
at

806 Lexington Avenue

New York 21, N. Y.

Tel. Regent 7-4168

Editor:

Jan Lechoń

Subscription:

Monthly 60 cents

Half yearly \$3.50 Yearly \$7.00

"Entered as second-class matter
April 27, 1944 at the post office
at New York 1, New York, under
the Act of March 3, 1879"

taljon płk. Różyckiego, wdzierający się na Albanete od "Głowy Węża" ginął w ogniu nabunkrzonych wzgórz, a on, dowódca stalowych potworów, niosących ze sobą potężną siłę ognia, mogących skruszyć te wszystkie bunkry, otworzyć piechocie drogę do zwycięstwa — stał przed fatalnym garbkiem i nie mógł sforsować gardzieli.

Słuchacze przy głośnikach radiowych śledzili krok za krokiem, minuta za minutą tragiczne perypetje tego dnia. Chłonęli najsugestywniejszy film, którego rozwiązanie nie było znane, którego scenarjusz pisało starcie woli naszej i przeciwnika. Słuchacze słyszeli, jak zdesperowany Drelicharz wydaje czołgom rozkaz wdzierania się na nieozminowaną Albanete, słyszeli wyluchy eksplozji, od których pękały ich ichtjozaurowe gąsienice jak papierowe transmisje. Słyszeli jęki rannych, ochrypte słowa komendy wycofujących się czołgów i komendy idących zająć ich miejsce następców. Słuchacze pod wieczór słyszeli schrypiły od codziennego wysiłku głos Drelicharza, jak prosi dowództwo, aby go nie luzowała grupa czołgów Bortnowskiego, Drelicharza — upierającego się pozostać tu, gdzie wyrąbał sobie drogę do żołnierskiej chwały.

Rano dnia następnego, stały czołgi gromadką ustawioną na jeża na zdobytej Albanecie. W południe tego samego dnia wybuchł ciężki pocisk artyleryjski, zabijając kpt. Iwanowskiego i por. Bortnowskiego, któremu nie chciał Drelicharz ustąpić wieczoru poprzedniego żołnierskiej sławy (jak musiał już raz mu jej ustąpić w ataku pod Gazala, kiedy, ranny przekazał dowództwo). Ranił pocisk ciężko kpt. Drelicharza, przekreślając emulacje rycerskie krwawą krechę.

Ze szpitala na nowo wznosił się lampion legendy płynący nad woj-

skiem. Długi szereg walk w pościgu nieustępliwym i zajadłym przez wszystkie brody rzek od Ortony po Rimini, przez wszystkie przełęczy tego 230 kilometrowego szlaku, przez wszystkie błotka i zapadnie, nagłe załamki dróg, górskie przejazdy, międzyoliwkowe przesmyki i szerokie przewiewy płaszczyn.

Pierwszy z czołgistów wniósł od Falconary chrzest pancerny do zdobywanej Ankony, przyparł do Adrjatyku, szedł, jak walec wyciskający Niemców z ziemi uśmiechającej się do nas kościołami jak nasze, atykami jak nas nauczyli włoscy budowniczowie.

Tak przyparł do skraju Apeninów, skąd już wgląd na równię Lombardji. W ostatniej rozgrywce o ostatnie zręby bastjonów, znowu, w mokry listopadowy dzień posłyszeliśmy w słuchawkach jego głos. Gospodarzył znowu bitwą swoim soczystym językiem, językiem Paska, datującym się z pod Grunwaldu, szorstką miłością obejmując krąg powierzonych sobie żyć ludzkich, zamkniętych w stalowych pudłach.

A potem posłyszeliśmy: "Pepance z lewa!" i serca słuchających zamaryły w oczekiwaniu. Bo p-pane, to straszliwy przeciwnik czołga, przeciwnik zamaskowany, czekający i górujący nad czołgiem. A cofać się nie było jak...

Radiotelegrafisci przypłaszczyli się przy odbiornikach — przez długie jak wieczność dziesięć minut żadna siła ludzka nie mogła z nich wyrwać meldunku.

A potem... już wiadano. Światło bohaterskiego życia, legenda żołnierska, zatoczyło łuk i zgasło.

Na cmentarzu nad grobem stanął gen. Anders, stanęli dowódcy. Żółte sięgające po łokieć rękawice pancernych zaplotły się na czanej trumnie kapitana, na czterech dalszych trumnach jego podkomendnych.

Trzy były maleńkie — to spalone resztki.

Znieruchomiał szwadron chowający dowódcę i kolegów. Cicho było w płaczącym siąpiącym dniu tego Apenińskiego cmentarza w czworoboku cyprysów. Tylko ci w dole, koledzy brali pudełka i trumienki i kładli w pięć wykopanych dołków. Kiedy małe trumienki układano w jamach, już wznosił się nad nimi wielki żelazny krzyż z części czołgowych.

Gen. Anders rzucał do każdego grobu grudkę i mówił o Drelicharzu patrzącym na żołnierski wysiłek z nieba.

I kiedy wznosił się krzyż, legły wieńce, szwadron poderwała komenda do odmarszu, poczęło wznosić się na niebo tak listopadowe jak w Polsce nowe światło — tej legendy, która już nie umrze.

Wejdziemy kiedyś na tę ziemię, której nam bronią, w blasku światła sunących górą, światła niezniszczalnych i nieśmiertelnych, niedosiętych żadnym piekielnym pepancom. I kiedy ręce żołnierzy składać będą na grobie Nieznanego Żołnierza wędrującego kwiaty, stanie nad grobem tym niewiedząca, glorijska.

Będziecie wówczas z nami — wszyscy polegli.

I z naszymi dziećmi,
I z dziećmi ich dzieci.

POTRZEBA PORTERÓW

do nocej pracy w dużym budynku biurowym. \$37.00 tygodniowo wraz z "overtime"

Zwrócić się do:

PANA INGE
70 Pine Street
New York City, N. Y.

WYSTAWA i SPRZEDAŻ ŚWIĄTECZNA

s z k i ó w

Ireny Lorentowicz

p. t.

"Obrazki Warszawskie"

w lokalu "Tygodnika Polskiego"
806 Lexington Avenue, N. Y.

od 15go grudnia 1944 do 1-go stycznia 1945 od 3ej do 6ej pp. Otwarcie w sobotę 16 grudnia o godzinie 12 w południe.

Dopomóżcie Naszym Chłopcóm Do Zwycięstwa



KRAJ NASZ LICZY NA KAŻDEGO OBYWATELA

KUPCIE CHOĆ JEDEN "EXTRA" \$100. BOND

6-TEJ POŻYCZKI WOJENNEJ STANÓW

ZJEDNOCZONYCH

Apel ten podali

IGNACY, PAWEŁ i MACY NURKIEWICZE

WŁAŚCICIELE

UNION STOP FIRE
CORPORATION

30 — 4th Avenue

Brooklyn, N. Y.

MARTA ERDMAN-WAŃKOWICZ

GŁOS Z "CZYKAGOWA"

Do "Czykagowa" jechałam długą, daleką drogą. Najpierw przez szkolne czytanki o Panu Balcerze w Brazylii i sienkiewiczowskie nowelki, z których jasno wynikało, że słowo "business" jest słowem ważnym, i że każdy powinien zajmować się własnym businessem a nie czym innym. Potem przez ostatni Nowy Rok, przed maturą, hucznie obchodzony w Zakopanem z gromadą "światopolaków" z Niemiec (jakże inaczej w ich ustach niż w naszych brzmiały słowa "Roty"). Potem przejazdem przez francuskie Carvin w północnym zagłębiu węglowym, Carvin, które stary górnik Wojtecki, zbierający kolorową polską wiechę kwiatów dla mnie w ogródku nazywał — Karwiną.

Aż wreszcie dojazd do wielkiego miasta w kraju znanym tylko z mapy, w kraju obcych ludzi. Pytanie o tramwaj, łamaną angielszczyzną. Zapytana kobieta patrzy uważnie na orzełka wpiętego w klapę mego kostiumu.

— Dojedzie Pani do Milwaukee i Division — mówi po polsku — stamtąd do Lenarda już tylko dwa kroki.

Tak oto niespodziewanie spotkałam się z "Czykagowem" cztery lata temu.

Inna była już moja ostatnia, niedawna wizyta w Chicago, największym "polskim mieście" po Warszawie. Wiedziałam już gdzie Muzeum Polskie, a gdzie redakcje obydwóch dzienników, a gdzie Lenard, a gdzie Związek Polek, a gdzie Rada.

Ze Związkiem Polek zwłaszcza zdawna już miałam kontakt. Zaczęło się to od wydania przez Związek mojej książki (daj im Boże zdrowie!) wtedy, kiedy jeszcze ani kawałek Roju nie przyjechał do Ameryki. Ciągnęło się później przez dorywczą, i z mojej strony bardzo niewątpliwie niezadawalającą współpracę w sprawach pomocy jeńcom (wtedy to dostałam ze Związku list, proszący o przesyłanie do nich nalepek na paczki dla jeńców bez względu na to, czy mogą pokryć koszty wysyłek czy nie). Zacementowało się ostatnim Sejmem Związku w Filadelfji na którego obrady pielgrzymowałam z nabożeństwem. No, i wreszcie — ostatnią wizytą w Chicago, kiedy po miłej wizycie u Pani Prezeski Wołowskiej, zaszłam, starym nieodpartym pociągami do redakcji "Głosu Polek".

Redaktorka "Głosu Polek" Pani Jadwiga Karłowiczowa mówi spokojnym, równym głosem człowieka, który ma zbyt wiele konkretnych spraw na myśli, żeby zaprzętać sobie czas próżną dyskusją, i "malować front"

frazesami. I kiedy tak siedzimy przy jej wielkim biurku zawałonym gazetami i papierami, mówiąc o Chicagowskich sprawach i o Związku Polek — patrzę na gazetę tuż koło mnie, i natykam się wzrokiem... na recenzję o książce Karłowiczowej.

— Czemu mi Pani nic nie powiedziała? — mówię. — Podobno ukazała się właśnie Pani książka...

Karłowiczowa podnosi mi oczy z nad szuflady, z której właśnie dla mnie coś wyciąga. Wydają się jeszcze bardziej błękitne niż zwykle, bo jest w niebieskiej bluzce. Uśmiecha się z leciutkim zażenowaniem:

— Jeszcze właściwie nie wyszła — mówi — Dopiero za kilka dni będzie rozesłana. Nazywa się "Płonące Skrzydła".

— O czym? Powieść?

— Nie. Tak trochę... — Znowu zakłopotana lekko. — To miała być książka o Godlewskim.

Wysoka, smukła postać typowego amerykańskiego boysa o jasnej młodej twarzy, z pustym lewym rękawem, skorzaną rękawiczką na sztucznej prawej ręce, stanęła mi przed oczyma. Niebieski mundur RAF'u z naszywką Poland. Wstążeczki orderowe na mundurze, i ta, najpiękniejsza, Virtuti Militari. Dwadzieścia lat.

— Miała być... No i co?

Znowu lekki ruch ręką, jakby zakłopotany.

— Nie wyszło. Rozrosło mi się to. Teraz jest — o Chicago.

Kiwając się z rytmem kół "Commodore Vanderbilt" "pędzącego na wschód, do New Yorku, zacząłem czytać "Płonące Skrzydła".

Pierwszy to raz czytałam próbę belewistycznego studjum na większą miarę, Polonji Amerykańskiej, napisaną przez kogoś z Polonji właśnie. Były dotąd feljetony i książki "starekrajskich" ludzi, którzy przyjeżdżali tutaj na dłużej lub — częściej — na krócej, i pisali o Polonji. Przykładali do tej Polonji swoje starokrajskie, staro-europejskie wagi i miarki, nie znając tych innych amerykańskich, którymi mierzyła Polonja. Wychodziły z tego dobrze pisane artykuły — nieudane; i dobrze pisane książki — nieudane. Nie było książki, która by wyszła z Polonji, i starała się udostępnić "braciom z daleka" operującym nieumiejebnie sloganami Światopoli poznanie trybów i śrubek myśli polonijnej. Książka taka musiała myśleć tak właśnie a nie inaczej i czuć tak właśnie, jak myśli Polonja. Trochę z tym tak, jak z książką Fiedlera o polskiej Marynarce Handlowej.

Jeszcze nie widziałam marynarza, któryby był z niej zadowolony.

"Płonące Skrzydła" Karłowiczowej wypełniają tę lukę. Niewątpliwie nie jest to książka tak błyskotliwie napisana jak feljetony Nowakowskiego, który oznajmiając wszem wobec, że nie "zaparkuje swojej kary" w Ameryce, nie cniąc tego zrobić może poprostu dlatego, że nie miał tej kary, którąby mógł zaparkować. Nie jest to książka tak ambitna jak ta, którą zapowiadały amerykańskie feljetony Wańkowieza, ani tak napakowana po brzegi polemiką jak "Ach, te chamy" Gąsiarowskiego.

Książka Karłowiczowej nie broni, nie oskarża, nie chwali i nie wywyższa. Jak jej autorka w rozmowach, tak i książka sama nie traci czasu na prozne argumenty i gotosłowne dyskusje. Z tego, że autorka jest dziennikarką, z tego, że to jest jej pierwsza wycieczka w pole semi-belewistyczne, wyrosło coś niezmiernie ciekawego. "Płonące Skrzydła" to nie powieść i nie reportaż: to scenariusz z życia Polonji w "Czykagowie".

Wątek autentyczny historii Bronisława Godlewskiego, młodego chłopaka, który, urodzony już w Ameryce, mówiący po polsku twardym amerykańskim akcentem, poszedł na ochotnika do lotnictwa polskiego i odfacił wielką chwałę wielkim kalendarzem — rozrósł się w szeroką panoramę życia Polonji chicagowskiej. Tej biednej, na Noblowie, i tej zamożniejszej, jak Kewescy, których syn z wojny już nie wrócił.

Jak w scenariuszu filmowym — możliwości powieściowe książki nie są przez autorkę wykorzystane. Chce powiedzieć nam tyle i o tak wielu ludziach, że z konieczności ogranicza się do rzucenia szkiców sytuacji, zarysów tylko akcji i scen. Jest to niewątpliwie z punktu widzenia literackiego wadą książki. Nie bardzo wiemy jakim językiem ci ludzie mówią. Wiemy zato jasno jak myślą.

Wiemy, naprzykład, że rok rocznie w Humboldt Parku przed pomnikiem Kościuszki, stają zwartym tłumem, deszcz nie deszcz, "składając niejako przysięgę na wierność ideałom zamorskiej Ojczyzny." Nie Państwu Polskiemu. Nie. Ideałom polskim. Wiemy, że "dzień pierwszego września tego roku (1939) wżarł się tak głęboko bólem w serca Polonji, że opisać to trudno" I że najwięcej cierpiało "ghetto" — biedna, zapomniana dzielnica, o której mimo najwspanialszych kościołów, Bóg chyba zapomniał." Nawet Julka, piękna, młoda Julka, która niespodziewanie

staje się wielką gwiazdą, by potem rzucić wszystko i być "poprostu" żoną okaleczonego, bezrękiego Konrada, nawet Julka, która urodzona w Ameryce "czuje że kocha Stany Zjednoczone tak, jak jej matka kocha Polskę" i której polska bieda wcale nie pociąga — tego dnia wrześnieowego "nie może sobie miejsca znaleźć" tak ją to boli.

W panoramę "Czykagowa" wsuwa się Rena, młoda Polka, która przyjechała do Stanów tuż przed wojną "na wizytę" i odcięta od kraju, musiała tu potem zostać. Ciekawe to dla nas, "refugiatów" specjalnie, jak sobie Polonja wyobraża to zadanie, które my tu musimy spełnić. Rena zadaje sobie często pytanie, które my sami w sobie tak dobrze znamy: "Z czem wrócić do kraju?" I odpowiada: "Trzeba ten kraj poznać."

Ze świecą szukać drugiej takiej zdrowej rady dla uchodźców!

Rena przyjaźni się serdecznie ze swoją daleką kuzynką, Julką. Postać Julki jest niezmiernie ciekawa, bo dla tych co z boku, nieco niepewnie, przyglądają się czasem Polonji, myśląc zapewne nieraz, że to "dziwne ludzie", odpowiada na wiele pytań.

Julkę Polska nic nie obchodzi. Julkę mierzi nawet jej polskie nazwisko, bo wiąże się z biedotą ghetta polskiego. Przyszła wojna. Polska z poślednich szpalt na dalszych stronach, wy skoczyła tłustym drukiem na nagłówki pierwszostronicowe. Każde słowo zapadało głęboko w duszę Julki. Tak dotkliwie, że aż ją to bolało, że "pragnęła się od tego oswobodzić i wmówić w siebie, że ją to nic nie obchodzi, że tamten kraj — to nie jej ojczyzna. że jej ojczyzną są Stany Zjednoczone, a właściwie chicagoskie Marianowo... Lecz to tłumaczenie nie pomagało... Dawniej opowiadała jej Rena o Polsce, o jej miastach i miejscach wartych zachwyty. Lecz Julka tych opowiadań nie przyjmowała zbyt za prawdę... Teraz widziała Polskę w amerykańskich gazetach i kinach — i ta Polska dopiero teraz przestała być dla niej opowiadaniem z tysiąca i jednej nocy, a stała się czymś rzeczywistym, prawdziwym...

"Nieraz chciała matkę zagadać, by jej cokolwiek opowiedziała z dawnych lat w kraju. Lecz matka nigdzie nie była, Polski nie widziała i dla niej najpiękniejszym był mały zagajnik, o którym Julka słyszała już tysiąc razy.

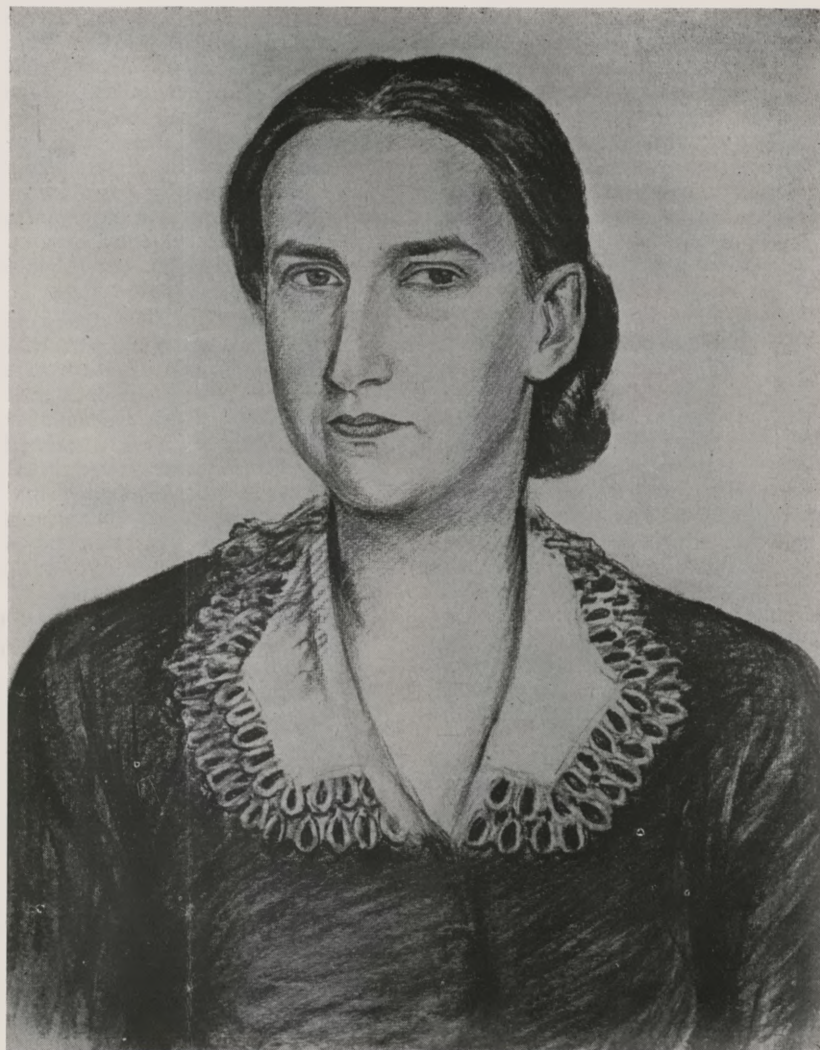
"Julka zaczęła się pilnie uczyć. Zapisła się na kurs języka polskiego, wiedząc, że czekają ją lata pracy, aby się mogła dobrze nauczyć języka, poznać chociaż trochę literaturę i zrozumieć bieg historii".

I tak, powoli, amerykańska Julka staje się jedną z tych wielu w "Czykagowie", jedną z tych wielu "chorych na Polskę".

Książka Karłowiczowej jest dosyć nieortodoksyjna. Trudno ją pomieścić w jakieś usztywnione formy generów literackich. Ale jest tak interesująca szerokością koncepcji i ważkością poruszanych tematów, że z ciekawością oczekujemy następnej pracy pani Karłowiczowej. Nie zdradzę chyba sekretu pisząc, że Karłowiczowa pra-

cuje obecnie nad nową książką, powieścią do której przywiązuje większą jeszcze wagę niż do "Płonących Skrzydeł" i w którą wkłada wiele pracy i starania. "Płonące Skrzydła" pozwaają mieć nadzieję, że będzie to książka bardzo warta przeczytania.

Na zakończenie tych uwag, recenzyjnie nieortodoksyjnych, bardzo pragnęłabym jeszcze podkreślić pozytywny ton książki. Autorka wierzy wraz z jedną ze swoich bohatererek "że ci wśród działaczy Polonji, którzy nie umieli bronić jej czysto amerykańskich praw, a szli na lep różnych sztuczek i politykierskich tryków, zawsze byli zdystansowani przez ludzi szczerych o stanowczych przekonaniach. A na ból ludzki, na mękę wojny, znajduje jedno lekarstwo: — pracy twórczej. Rewerska pierwszy raz może spojrzeć na fotografię syna zabitego na wojnie, dopiero wtedy, gdy znajduje w sobie nową moc i nowe powołanie: "Trzeba budować!"



JADWIGA KARŁOWICZOWA

TRZECI FRONT
TO SPRZEDAŻ
BONDÓW
WOJENNYCH
KUPUJ
BONDY

IANUSZ LASKOWSKI

ZGRZYTY SYMFONJI CISZY

KORESPONDENCJA WŁASNA "TYGODNIKA POLSKIEGO"

Na pokładzie ORP. "Krakowiak" we wrześniu, 1944 r.

Ten wyblysk żółto białego ognia — to Boulogne, osamotniona "wyspa" niemiecka na Kanale. A cisza, towarzysząca wyblyskowi — to leitmotif naszych obecnych patroli. Przewija się fugami, w akordy się składa, pasażami odbiega i powraca potężnym finałem. W tej chwili wznosi się ku jakiemuś rozwiązaniu. Nie może dłużej trwać, ale trwa...

Kiedyż nareszcie huknie ta eksplozja?

Cisza wibruje w uszach, napinając uwagę do ostatecznych granic. A eksplozji, jak nie było — tak nie ma. Ten wyblysk, który się nie powtórzył — to salwa najcięższej, dalekosiędnej artylerji niemieckiej. Boulogne jest blisko. Do czego strzela w kierunku Kanatu, no i naszym?

Wieczorem spotkaliśmy konwój, posuwający się bardzo wolno właśnie w tym kierunku, co i my. W tej chwili powinien być w pobliżu. Ale w grucie rzeczy nic nas ten konwój nie obchodzi.

Chcemy wiedzieć, czy salwa oddana jest do nas, czy nie?

A eksplozji, jak nie było — tak nie ma.

"Krakowiak" wolno posuwa się po spokojnym morzu. Można nawet pomyśleć, że to lato, gdyby nie wiatr ostrzejszy, niż jeszcze przed dwoma tygodniami. I możnaby — przy odrobienie dobrej woli pomyśleć, że Boulogne poddało się równocześnie z tą salwą, która żółto-białym wyblyskiem wytrysła od strony lądu.

Salwa była oddana napewno nie do nas. Gdyby miała być inaczej, usłyszeliśmy już wybuch pocisku. Bliżej, czy dalej, — czy na okręcie — to wszystko jedno.

Moment szczytowy piewszej frazy nocnego koncertu ciszy minął. Teraz następuje część druga, spokojniejsza. Widocznie spodobało się kompozytorowi wybrać dla drugiej części detonację "dur".

Ten wyblysk, który widzimy po drugiej burcie — to wybuch ciężkiego pocisku. A miejsce, gdzie wybuchł — to Dover.

Nie! Nie wolno kompozytorowi skakać z jednej tonacji w drugą tak szybko. Są przecież pewne reguły kompozycji, niepozwalające zmieniać

tonacji prędzej, niż po 4ch taktach. A 4ch taktów napewno jeszcze nie było.

Cóż z tego, że teraz wrócił do pierwotnej tonacji i symfonia ciszy nocnej idzie właściwym torem? Jeden zgrzyt zostanie w pamięci słuchacza ardużej, niż wspaniała całość.

Od pierwszego wyblysku minął dobry kwadrans, po którym nastąpił inny, — zresztą taki sam. Ten już nie zmącił koncertu ciszy. Poprostu nie zwracaliśmy nań uwagi, wiedząc, że chodzi tu o ostrzeliwanie Dover'u poprzez Kanał. Tylko nikt nie wie, pogo to wszystko? Wielki pocisk niemieckiej artylerji najcięższej i tak nie spowoduje żadnych szkód na angielskim brzegu. Wogóle nie wiadomo, czy doleci. Może wybuchł nad wodą, lub w wodzie?

Mamy już pewną wprawę w ocenianiu celności. Przed przeszło miesiącem, kiedy dopiero zaczynała się ofensywa sprzymierzonych w Normandji, staliśmy na kotwicy u brzegów francuskich. Dzień był piękny, — nawet upalny, co wyrzuciło na pokład prawie całą załogę "Krakowiaka". Marynarze plażowali przed nocnym patrolem. No i oczywiście po nocnym patrolu. A zajęć okrętowych dnia tego nie było. Wyjścia na ląd również nie było, więc siedzieliśmy na okręcie, opalając się, jak za najlepszych czasów pokojowych. W pewnej chwili usłyszeliśmy eksplozję, a z wody w pobliżu nas wzniosła się niewielka chmurka. W chwilę potem nastąpiła druga eksplozja.

Przyglądaliśmy się pociskom niemieckim, wybuchającym pomiędzy "Krakowiakiem", a brzegiem, stwierdzając nawet z pewnym zdziwieniem, że żaden nie trafił w żaden z licznych celów. Bywały i takie salwy, że wybuchowało niemal równocześnie po 5 i więcej pocisków. Ale chybiały dosłownie wszystkie. Kilka eksplodowało na brzegu, — na plaży, gdzie już nikogo nie ma od dawien dawna.

Takie już są prawa wojny, że dalekosiędna artylerja jest równie bezradna, jak dziecko, jeżeli nie ma obserwatorów, którzyby z wyżyn samolotu śledzić mogli upadek pocisków

Niemcy zabawiali się przez cały dzień. I przez cały dzień bezskutecznie.

Odległość, jaka wówczas dzieliła

"Krakowiaka" od brzegów Normandji nie była większa, niż 3 mile. Na tej przestrzeni stało na kotwicach napewno kilkadziesiąt statków i okrętów wojennych. Można więc uważać, że skupienie jednostek alianckich było raczej gęste. I mimo to artylerja nie-

miecka przy całodziennym bombardowaniu nawet nie uszkodziła żadnego z nich.

To też i teraz, kiedy patrzę na wyblyski z Boulogne i wybuchy pocisków na brzegu angielskim, powątpiewam o celności nieprzyjacielskich



Polski kontrtorpedowiec "Piorun" współpracował we wrześniu 1944 roku z Francuską Armią Krajową

salw, których częstotliwość nie przekracza 3-4 na godzinę. Więc coż to jest wogóle? Bo to nie jest wojna!

To jest dusza Niemców.

Ostatnio pisałem o przeróżnych paskudztwach, które Niemcy uprawiają na morzu. O pułapkach, o sieciach, przetykanych ładunkami materiałów wybuchowych i zarzucanych w morzu bylejak z nadzieją, że okręt, lub statek aliancki wejdzie na nie. Teraz widzę w sektorze innym, bliższym Morza Północnego, — to samo. Tylko tyle, że robi to artylerja.

Boulogne jest jedynym punktem oporu niemieckiego nad Kanalem. Sojusznicy już dawno weszli do Belgji, przekroczyli dzisiaj granicę holenderską wbijając się w linię Siegfrieda, a Boulogne jeszcze strzela ze swoich najcięższych dział, których celności nie może nikt sprawdzić. Mimo wszystko — strzela. Poco?

Nie rozumiem tego inaczej, jak tylko, jako spekulację na przypadek. Może pocisk wysłany z Boulogne trafi w Dover w jakiś domek, może odłamki pocisku uśmiercą kogoś, — starca, kobietę, dziecko. Innego rozumowania być nie może. A jeśli pocisk trafi w jakieś mola lub w zabłąkany tu statek tem lepiej.

Po dwu godzinach akcja niemieckiej artylerji w Boulogne kończy się. Innymi słowy oznacza to, że wystrzelono nie więcej, niż 8-10 salw.

To nietylko nie zadecyduje o losach wojny, ale nawet w najmniejszym stopniu nie wpłynie na losy Boulogne. Wyrok bowiem już zapadł i niemiecki garnizon pójdzie do niewoli. Może już jutro, może za kilka dni.

Tej samej nocy widziałem kilka "ślepegatów", — jak je nazwał Karol Zbyszewski. Leciały ku Anglji. Przypuszczam, że do Londynu, aby tam spaść, wywołując poważne zniszczenie w promieniu conajmniej 200 m. od miejsca upadku latającej bomby. Kilka ślepegatów nie doleciało do miejsca przeznaczenia. Zostały strącone przez sojuszniczne myśliwce nad kanałem.

Spodziewałem się zawsze, że zestrzelenie samolotu, czy bomby jest bardziej efektowne. Ale okazało się, że nie.

Wśród migotliwych sygnałów gwiazd ukazało się w pewnej chwili czerwone światło, które znam

bardzo dobrze. To światło ślepegata. Rosowało się ku północy szybko i bez dźwięcznie. Za daleko ieciaro, aby je słyszeć. Od północy zaś szło ku nowej broni niemieckiej inne światło. Reflektorów z lądu i serji pocisków alianckiego myśliwca.

Trwało to wszystko krótko. Może minutę, a może nawet mniej. I nie widziałem już światła czerwonego. Znikło. Zapadło się. Zgasło.

Dopiero długo po tem usłyszałem eksplozję. To ślepegat spadł w morze.

Bywa jednak i inaczej. Tej samej nocy widziałem, jak niemiecka bomba latająca zapaliła się w powietrzu i spadła. To było znacznie efektowniejsze.

Ale nie jest to ważne.

Bo czy pułapki z materiałów wybuchowych na morzu, czy ślepegaty, czy wreszcie ostrzeliwanie brzegów angielskich z Boulogne, stojącego w przededniu poddania się — to przecież wszystko oparte jest na tej samej zasadzie przypadkowości. To już nie jest wojna, podczas której siły zbrojne wykonują ściśle przewidziany plan, polegający zawsze na uderzeniu nieprzyjaciela w najbardziej dotkliwy punkt. Tymczasem zaś Niemcy na łaskę przypadku zdali cały trud wynalazców pomysłowości tych, którzy maskują rozrzucane po morzach eksplozwy. Trafi — to dobrze. Nie trafi — szkoda! I oczywiście ponieważ do Londynu sięgnąć mogą tylko ślepegatami — wysyłają je ciągle, bo bądźco bądź w Londynie nie trudno o cel. A czy celem tym będą składy amunicji, czy mały domek mieszkalny robotnika — Niemcom widocznie jest wszystko jedno.

Poszedłem spać tej nocy grubo przed zakończeniem patrolu, chociaż gwiazdy były przepiękne i poezja było od spokojnej powierzchni morza.

Nad ranem niemiecka artylerja ostrzeliwała z Boulogne konwój aliancki, przechodzący w pobliżu "Krakowiaka". Zaden ze statków nie został trafiony.

Cóż za zawziętość w dziele mordowania i niszczenia!

Przedtem nie znałem takich Niemców. Dopiero teraz poznaję ze zgrzytów nocnej symfonji ciszy, z której wysłuchać chcę całą treść, zrozumieć i zapamiętać.

MICHAŁ CHOROMAŃSKI

PAMIĘTNIK KANADYJSKI

Poniedziałek:

Żle się zaczyna ten tydzień, pomyślałem sobie siadając do biurka. Przede mną leżał arkusz czystego papieru.

Jestem z natury zabobonny. Niedawno stłukłem lusterko, wiem, że do 1951 roku spotykać mnie mają same niepowodzenia, wstając z rana zawsze uważam, aby włożyć z początku prawy trzewik, jak mi przejdzie drogę którychś z urzędników konsulatu, natychmiast zawracam, tego dnia z domu nie wychodzę. Zresztą, jak każdego trochę poskrobać, kto nie jest zabobonny. Przed paroma dniami przychodzi do mnie Rafał (Malczewski) i powiada: Jestem w złej passie, wogóle pech od dwóch tygodni. Gdybym nie przypomniał sobie o rudym krawacie, nie wiem jakby się to skończyło. Mam taki jeszcze z kraju, jak go włożę wszystko idzie jak z płatka, przez zieloną węgierską granicę w nim się przedarłem, Atlantyk w tym rudym krawacie przepłynąłem, więc odtąd wkładam go tylko w ostateczności, oszczędzam w marę sił, pomyślałem jednak albo teraz, albo nigdy, bo zanadto mnie dziś przypiekło, i wyciągam go z kufra z powrotem. Wkładam, wychodzę na ulicę i — oczywiście: pierwsza rzecz jaką widzę na chodniku, leży paczka papierosów. Ktoś zgubił. Playersy. Nawet nie nadpoczęta. Podnoszę, chowam do kieszeni, patrz, proszę cię bardzo wypal.

Natomiast Karolowi Szymanowskiemu, znanemu ze swej przesądności podarowano kiedyś na imieniu francuski podręcznik: Co czynić a czego unikać należy, ażeby w życiu szczęścia doznać. Był z tego powodu raczej zgnębiony, życie mu się skomplikowało piekielnie, kroku stąpić nie mógł, bo każdy drobiazg należało przedtem rozważyć, czy jest dobrą czy też złą wróżbą. Ale dobiła go czarna kura. Podręcznik najsurowiej przestrzegał przed lekkomyślnym traktowaniem tego przedmiotu — kto w domu czarnej kury hodować nie będzie, tego szczęście w karierze ominie. Więc Karol Szymanowski nie wytrzymał i w końcu namówił właścicielkę "Atmy", chałupy w Zakopanem gdzie mieszkał, aby czarną kurę w podwórku chowała.

Czy mam dalej mnożyć przykłady? Pechowy poniedziałek, pechowy tydzień, pomyślałem sobie rozpoczynając ten pamiętnik. Przede mną leżał arkusz białego papieru.

O tragedji niczym niewypełnionego papieru pisywali poeci w chwilach odpływu t. zw. natchnienia, o papie-

rze, o stalówkach, o rymach, o tajemniczych procesach tworzenia, ba! zwierzali się z braku inspiracji, po prostu z tego, że nie mają o czym pisać. Tragedja więc polegała właściwie na tem, że wyschło chwilowo źródło twórczej siły, że zabrakło treści, aby biel papierową wypełnić... Otóż, pomyślałem sobie w tej chwili to pisząc, że owszem tragedja czystego papieru istnieje, ale według mnie, kto wie czy się nie mieści całkiem gdzie indziej: polega na tem, że cokolwiek się napisze, najdrobniejszym maczkiem, najgęściej — zawsze pozostaną na tym papierze białe plamy, niewypełnione a mieszczące w sobie tragedje. Że tak powiem — między wierszami. A zwłaszcza, gdy poeta jest Polak.

Wtorek:

Serce, język i żołądek oto organy najbardziej narodowe. Jak się kogoś chce wynarodowić, zmuszaj go nie tylko do obcej mowy, ale i do obcej strawy. Najzdrażliwszym jest chyba język, najwierniejszem serce, a żołądek akurat w środku.

Są knajpy, restauracje, bary i drug store'y w Montrealu najróżniejszego pochodzenia, o dwujęzycznych lub jednojęzycznych jadłospisach, na głównej ulicy św. Katarzyny, zwłaszcza po południowej stronie, aż się roi od nich, przeważnie są jednak angielskie lub francuskie — ale jak któryś nowy rodak do Montrealu zawita i zapyta innego, gdzie tu dobrze jeść dają, posłyszysz w odpowiedzi:

"Wie pan, przeważnie nasi chodzą do "Modrego Dunaju", albo do "Grażdanina", pierwsza cprawda jakoby niemiecka knajpa, a druga ni to ukraińska, ni to rosyjska, ale wie pan jest to raczej tradycyjny zbieg okoliczności, coś dla smutnego dowcipu, bo oczywiście nikomu to nie ubliża, o niczem broń Boże nie świadczy, wszyscy, że tak powiem jesteśmy zwarci i jednomyślni, klócimy się nietyle z powodu różnic, co z powodu podobieństw aż mdło się robi do jakiego stopnia wszyscy jesteśmy na jedno kopyto, te same wady, wie pan, nic nas życie nie nauczyło, zapewniam pana, że tylko ja jestem wyjątkiem, toteż z nikim nie obcuje i mieszkam sobie na uboczu, bo tak lepiej..." Itd. itd. W ten sposób zazwyczaj mówią.

Tak się złożyło, że i ja dziś na ulicy spotkałem znajomego rodaka, gość dosłownie przelotny, poznał mnie po latach nie widzenia się.

— Parbleu, zawołał, jaki u-wiatru tu pana za-u-iał?

— A pan na długo? — pytam.

— No, odpowiada. No. No. Na krótko....

Język mu się plątał, mimo że dopiero szósty rok jak Mazowsze opuścił, zamiast "wu" — dabl-iu! — i rób co chcesz! Ale stare to są rzeczy, oklepane, nie groźne, zwłaszcza, że po chwili ten sam rodak powiada: — Chce pan zjemy pojutrze razem śniadanie. Podobno Pod Modrym Dunajem można fajną golonkę z chrzanem dostać!...

A gdy wyrzekł "golonka" czy mu się rozjaśniły ciepłym płomykiem.

— O kej, odpowiedziałem, do czwartku, ate logo.

Środa.

Jakby to powiedzieć: istnieje w Montrealu pewien pokój, albo raczej biuro, do którego się wchodzi, a po lewej stronie stoi szafa. Na szafie zaś leżała zazwyczaj kupa polskich gazet; po przyjeździe do Montrealu, przed niecałym rokiem, starałem się wywiedzieć, od co-emigrantów, co mają do czytania. Londyn niedaleko, Nowy Jork pod bokem, więc chyba prasy mają poddostakiem. Owszem, powiedziano, nie możemy się uskarżać. Wejdzie pan do pokoju, i od razu na lewo, stoi tam szafa, a na szafie — gazety. Bierz pan ile chcesz, nikogo nie pytają.

Poszedłem spróbować. Zgadza się! Pokój. Szafa. Nawet czyjś miły kobiecy głos zaprasza: "Wszystko co tam leży jest do wzięcia, z Bogiem!" Zacząłem więc szperać. Ale oto z jakimi wynikami:

Znalazłem około setki egzemplarzy tego samego numeru Polski Walczącej, zdaje się z któregoś tam lipca 1941 r.; kilka tuzinów egzemplarzy innego numeru teje gazety za luty 1942, oraz przeszło sześćdziesiąt egzemplarzy wielkanocnego numeru Dziennika Polskiego, wyd. w Londynie również w roku Pańskim 1942. Był pozatem pojedynczy numer Dziennika za rok 1943, w którym spostrzegłem względnie świeże wiadomości o Tobruku, ale właśnie ten numer nie był do wypożyczenia, bo go jeszcze nie przeczytano.

Nasi ludzie są tu zasadniczo cierpliwi, grzeczni, cisi. Przychodzą do pokoju, siadają przy szafie i ten sam numer wertują od deski do deski z dobrotliwym zaciekawieniem. Pytałem się naprzykład o "Nową Polskę", czy przychodzi?

— Kto?

— "Nowa Polska".

— Jaka nowa Polska? Pan właściwie o czym?

— O miesięczniku, wychodzi w Londynie.

— A co panu do tego?

— Przepraszam, powiadam, nic mi do tego, jasna rzecz. Chciałem wypożyczyć numer, jeśli przychodzi.

— Aha.. Nie wiem, wie pan, nie pamiętam, czy przychodzi, w każdym razie o ile tak, to od razu do intro-ligatora. Oprawiamy, rozumiem pan, rocznikami.

— Dobrze. A czy rocznika nie dało by się wypożyczyć?

— Rocznika? Co pan sobie myśli? Będzie pan taką grubą księgę dźwigał?

Przy ulicy Drummond jest Dom Polski, wiem o tym z doświadczenia. Mieszka tam kilka rodzin uchodźców, o tym napiszę któregoś dnia. W Domu Polskim pozatym miesi się Stowarzyszenie Polskich Uchodźców Wujennych, Stowarzyszenie Inżynierów i Techników. Ale nie ma czytelnicy, gdzie można było by przejrzeć świeże pisma polskie. Nie wiem, jak inni, ale przypuszczam, zarówno jak i ja odczuwają wszyscy brak drukowanego słowa. Wspominam o tym oczywiście bardzo nieśmiało, bez śladu żalu, przeciwnie z miłością gołębią w sercu do wszystkich powołanych czynników.

Czwartek:

— Po co się łudzić, proszę pana, zwiędziałem za czas swej pięcioletniej tułaczki prawie cały świat, i wiem jak jest — Polaków nikt nie lubi. Posiadamy podziwu godną zdolność budzenia wokoło nas nieufności, po prostu mówiąc, jesteśmy niesympatyczni. Gdziekolwiek jesteśmy zawsze zyskujemy sobie najgorszą prasę.

Tak powiedział mój znajomy we czwartek i iza mu się kręci w oku, bo za dużo wziął naraz chrzanu do swej golonki. Gołnął pozatym ze dwa dżiny i język mu się nagle wyprostował: zniknęły si, si, si, nono, 'wu' wróciło na miejsce, mówił teraz poprawną przedwojenną polszczyzną.

Wzniósł palec do góry.

— Drogie panie, gdy byłem niedoświadczonym początkującym pielgrzymem, gdy wierzyłem jeszcze że istnieje istotna różnica między wizą tranzytową a pobytową — przejmowałem się ogólną do nas niezyczliwością bardzo. Ale obecnie przechodzę nad tym do porządku, nie mnie to nie obchodzi. A wie pan od kiedy? Odkąd się przekonałem że nie jesteśmy w naszej niedoli odosobnieni. Dziwisię pan? Zaraz panu coś powiem. Narody zgrubsza można podzielić na dwie kategorie: nielubianych tylko przez swego sąsiada, i nie lubianych ogólnie. Norwedzy nie lubią Szwedów, Rumuni Węgrów, Grecy Turków itd. można powiedzieć ad infinitum. Do drugiej kategorii należą trzy narody wybrane: są one zarówno popularne, co ogólnie nie lubiane.

Są to Żydzi, Polacy i Anglicy. Najbardziej szkoda mi Anglików. Bo wie pan, jak to Anglik z jego wadą narodową, że nie potrafi się wypłakać. — Self control, nazewnątrż nie nie pokazuje, chodzi sobie na five'y jak gdyby nigdy nic, a jak do domu wróci i nikt go nie widzi — może nie śpi po nocach, cierpi, że go nikt nie lubi... Co do Żydów, to zdystansowali nas swym wielowiekowym doświadczeniem. Tutaj zadam panu drogiemu pytanie: Czy można nie lubić Żydów, a nie być antysemitą i czarną reakcją?... A nas z Anglikami narazie każdy może nie lubić ile mu się żywnie podoba i to najzupełniej bezkarnie. Więc praktycznie rzecz biorąc, czy nie dało by się po wojnie stworzyć bloku narodów nielubianych? Oh, jak by się to panie przydało!... I zgóry umówmy się: kto nas nie lubi, ten też jest reakcjonista. Bo naprawdę dość tej bezkarnej niezyczliwości.

Piątek:

Dzisiejszy wieczór spędziłem u kanadyjczyków. Na tle uchodźczych nastrojów, medytacji i goryczy, którą każdy z nas w sercu swoim tłumi, spotkała mnie naprawdę szczerą przyjemnością, gdy o wojsku naszym zaszła mowa. Pani domu, siwa i przystojna (tutaj w Kanadzie bardzo często ludzie siwieją przed wiekiem, nie wiem czemu to przypisać, można nieraz spotkać młodą zupełnie dziewczynę o siewutkich skroniach — chociaż jest to kraj niechybnie najzdrowszy, w jakim zdarzyło się mieszkać, (dożyć osiemdziesięciu, dziewięćdziesięciu lat w Kanadzie to frazka dla dzieci), otóż pani domu długo i serdecznie opowiadała o polskich swoich przyjaciółach w Windsorze, o naszych lotnikach. Nauczyłem się z wiekiem i ponieważ rozróżniać kiedy ludzie chwalą szczerze — było to według mnie szczerze napewno.

A pewien starszy pan siedzący w fotelu w kącie, szkot, wyjął z ust

fajkę i powiada! Otrzymuję listy ze Szkocji, piszą, że jak wrócę nie poznam swego kraju, tyle teraz tam polskich zwyczajów kwitnie. Chłopi na wsi czapki przed kobietami zdejmują, a nawet cmok w rączkę — nigdy przed tym tego nie było. Bardzo waszego żołnierza tam kochają!

Ciężką pracę na bary swoje wziął nasz żołnierz, bo nietylko zdobywa miasta, ale i serca ludzkie, niekiedy twardsze do zgryzienia niż fortece. I przypomniała mi się wczorajsza rozmowa z rodakiem. Pomyślałem sobie, że jak ktoś chce się przekonać, czy Polak jest sympatyczny i lubiany, niech włoży nań mundur da mu broń do ręki.

Sobota:

Podobno przyjechał Huberman i podobno kolonia polska witała go — wiem o tym ze słyszenia. Jutro gra w His Majesty's. O muzyce i koncertach, licznych i pięknych w Montrealu, warto napisać obszerniej.

W POPRZEDNIM 49 (101) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO"

Rzd 29-go Listopada; Dr. Antoni Rudnyckij: *Ukraińska literatura w Galicji Wschodniej w dwudziestym stuleciu*; Ułas Samczuk: *Szczęśliwy cichy dzień*; Witold Szyfer: *Naczelnemu Wodzowi Sił Zbrojnych Gen. Broni Kazimierzowi Sosnkowskiemu w hołdzie żołnierskim*; Zwycięzcy Wodzowie Polscy; Mieczysław Pruszyński: *Jastrzębie niemieckich noczy*; Władysław Gieysztor: *U Arciszewskiego w Warszawie*; *Opinie i Zdarzenia*.

TIMES HALL — 240 West 44th Street

Poniedziałek, 18go grudnia, 1944

8:30 wieczór

Koncert Polskiej Muzyki Kameralnej

utwory kompozytorów:

Jerzego FITELBERGA, Feliksa ŁABUŃSKIEGO,
Karola RATHAUSA, Antoniego SZAŁOWSKIEGO,
Karola SZYMANOWSKIEGO

w wykonaniu: *Gordon String Quartet, Mieczysława Horszowskiego, Simon Bellison, Karola Rathausa, Boris Schwarz, John Wummer*

Bilety w cenie 90 centów do \$2.40

Mgt. Michel Kachouk, 59 West 55th St. Circle 7-1686

ALEKSANDER JANTA

KARTKI Z PAMIĘTNIKA

Francja, w październiku, 1944
Nicejska oficyna Tyszkiewicza, filia florenckiej placówki bibliofilskiej tego artysty-drukarza, ostatnia redukcja pięknej polskiej książki nie zawiesiła pracy pod okupacją niemiecką.

Samuel Tyszkiewicz, którego drukarnia, introligatomnia, biblioteka, skład papieru i mieszkanie mieściło się w jednym maleńkim pokoju, wydawał swoje tomiki, mimo Gestapo, a

W czasie nalotów aljanckich na Niceę zabity został bombą Witold Conti, jeden z bardziej popularnych polskich aktorów filmowych, tenor o pięknym głosie.

Prawdziwe jego nazwisko brzmiało Witold Kozikowski. Pochodził z Torunia. W czasie tego samego bombardowania, zginęła również Sabina Straszewska, autorka tomiku wierszy, wydanego przez Tyszkiewicza, z ozdobnikami Contiego. Pracowali oboje w

niebezpieczną drogę w ciągu jednego tygodnia. Z Paryża do Madrytu, powtarzam.

Z Madrytu do Londynu natomiast — już niemal oficjalnie i z wszystkimi ułatwieniami szła dwa tygodnie.

* * *
Jean Desbordes, autor J'adore (z przedmową Cocteau) oraz książki o markizie de Sade, pracując w jednej z naszych organizacji, wpadł w ręce Niemców. Torturowali go dwa dni,



Aleksander Janta i Pułk. Janusz Iliński

nawet pod jego nosem. Te swoiste wydawnictwa podziemne, tych kilkanaście zbiorów Łobodowskiego, Wierzyńskiego, Paczkowskiego, Pelca, Micińskiego i innych, na czerpanym papierze, z ozdobnikami, w oprawach, stanowiąc będąc niezwykle i rzadki dokument polskiej kultury i sztuki rękodzielniczego.

Tyszkiewiczowską bibliotekę polskich "Introuvables" z lat 1940-44 dobrze byłoby czempredzej pokazać w Londynie i w New Yorku!

grupie teatralnej, zmontowanej przez polską Ymkę i działającej pod okupacją.

Przesyłka * * * kurjerska jednej z naszych organizacji podziemnych, pracujących we Francji pod Niemcami, docierała regularnie dwa razy na miesiąc z Paryża do Madrytu. Zawdzięczając polskiemu zmysłowi organizacyjnemu ludzi z tamtego terenu przesyłka ta, przechodząca sztafetą przez wiele rąk odbywała tą nielegalną i

próbując wydobyć wiadomości o naszych ludziach. Zginął nie powiedziawszy ani słowa.

Wśród pisarzy francuskich, którzy oddali życie za wolność znajduje się m. in. Jean Prevost, autor "Merlin", który zastrzelony został w Sassenage pod Grenoble, dalej Pierre Brossolette, znany dziennikarz, którego chwycili Niemcy w drodze do Anglii i który, straszliwie męczony wyskoczył z 5 piętra.

Jean Cassou, który pod pseudoni-

mem Jean Noir wydał ostatnio trzydzieści sonetów, nie napisanych, a wymyślonych i spamiętanych w ciemnicy więziennej, został straszliwie zmasakrowany w ostatnim dniu okupacji Tuluz, ale żyje.

Słynne w resistance nazwisko Colonel Berger — okazało się pseudonimem znakomitego autora "Warunku Człowieczeństwa" i "Zdobyców" Andre Malraux.

Nie ulega wątpliwości, że Niemcy uszanowali Paryż. Co tu gadać — ugięli się przed jego wyższością.

Imponował im sam fakt, że w nim są. I pragnęli wobec tego, aby był najbardziej autentyczny, przedwojenny o ile możliwości.

Ale to wszystko nie tłumaczy jeszcze ich poprawnego stosunku do stolicy świata, jako takiej. Bo człowiekiem, który obronił Paryż przed artystyczną interwencją niedosłego architekta i malarza (jak się okazało nie pokojowego wcale) jest, zdaniem wtajemniczonych, rzeźbiarz Arno Brecker, uczeń Rodin'a. On to woził Fuhrera po Paryżu w r. 1940. On interpretował dla Hitlera jego piękno

i zalecał, by go nie poprawiać, ani nie niszczyć.

Wiemy jednak, że nie wszystkie stolice Europy miały tak wymownego rzecznika ich wartości kulturalnych i estetycznych — wobec czołowych przedstawicieli narodu Kulturtraegerów...

Jean Cocteau opowiada mi o Niemcach. "Że ich widywałem jak najmniej i jak najrzadziej, choć garnęli się mnie odwiedzać — nie przypisuję sobie w tem specjalnej zasługi: nudzą mnie bowiem śmiertelnie. Był u mnie znany pisarz Jurgens — po kwadransie nie wiedziałem o czym z nim rozmawiać.

Jakakolwiek propaganda przyprawia mnie o niestrawność. To tak jak opowiadanie rzeczy, w których nie brało się udziału, naprzykład cudzych snów.

Zapewniali mnie zwykle: nie uczynimy panu nic złego może pan czuć się bezpiecznie. że to ja niby także cząstka tego oszczędzanego Paryża. Odpowiedziałem z głębokim przekonaniem: ależ proszę bardzo, — rozstrzelajcie mnie, wyświadcycie mi ogromną przysługę. Fusillez moi,

vous me rendez le plus grand service.

Z punktu wdzenia miejsca mojego w historii, oczywiście. Ale cóżby ich to obchodziło? I nic dla mnie nie chcieli zrobić aż do końca.

Picasso przystąpił do partii komunistycznej. Na otwartej ostatnio wystawie tego malarza w ramach Jesiennego Salonu w Palais de Tokio niema obrazu jego po cenie niższej, niż milion franków.

Maurice Chevalier przystąpił niedawno również.

Paryski pomnik Mickiewicza na placu Alma, jedyny już dziś w Europie, stoi nietknięty.

Przejeżdżam przez plac polskim samochodem, poruszony tym widokiem, tak mi się zdaje dziś niespodziewany, tak przejmujący. I mówię do szofera: Co pan na to? Naszego Mickiewicza zostawili.

— A bo proszę pana — tłumaczy szofer-filozof — w cywilnym stroju to im nie przeszkadza. Pewno nawet nie zauważyli, że Polak. Bo żeby tak w mundurze tu stój, toby go już dawno nie było..

FELICJA LILPOP-KRANCOWA

ROZMOWA Z ARTUREM RUBINSTEINEM

Taki już jest Artur. Tyle się go słyszało, tak się go zna, a przecież za każdym razem widzi się go niejako odnowa. Idzie się na koncert z poczuciem jakiejś absolutnej pewności; wiadomo przecież jak gra. I właśnie że nie wiadomo. Bo grał Szopena jeszcze piękniej niż zwykle, bo tym razem przeszedł sam siebie, a my, dzięki niemu, przekonaliśmy się, że to jeszcze było możliwe.

Grać trzeci koncert Beethovena, do tego z Toscaninim — cóż to za praca, co za wysiłek artystyczny. I otóż tego samego dnia, w trzy godziny później, Artur Rubinstein zasiada przy fortepianie w Carnegie Hall i daje ów niezapomniany recital szopenowski, o którym na tem miejscu tak pięknie pisał już Jan Lechoń.

Błyskotliwość jego rozmowy, nieoceniony dar imitacji i pamięć sypiania jak z rękawa faktami i anegdotą, stały się niemal przysłowiowe, — a przecież każda rozmowa jest mimo to niespodzianką, i, w przerzucaniu się do tematu na temat, nigdy nie wiadomo jaką strunę poruszy i jakie warjacje snuć będzie na temat tak bogaty jakim jest muzyka wogóle, a Szopen w szczególności. Bo właśnie Szopen jest dziś szczególnym przedmiotem jego zainteresowania.

Tak się już złożyło, że z własnym

marzeniem napisania książki o Szopenie — marzeniem, które jak dotąd, napróżno czeka na realizację, gdyż wirtuoz zazdrośnie nie chce nic ustąpić ze swego czasu pisarzowi — zbiegły się propozycje naraz z kilku stron: pisania monografji, opracowania kompletnego wydania muzycznego i opatrzenia go własnymi komentarzami. "Wszystko to szalenie ciekawe, mówi Artur, tylko wymaga czasu, wiele czasu". Tak samo jak pamiętniki, które zaczął i do których wraca okresami tylko, bo czyż to możliwe inaczej przy tylu koncertach, przy ciągłym przenoszeniu się z miejsca na

miejsce, ze Stanów Zjednoczonych do Kanady, a to do Meksyku, a wiosną, jeśli się da, do Europy?

Czeka tam przecież dom w Paryżu, obrabowany podobno ze zbieranej z taką starannością biblioteki — czekają nade wszystko przyjaciele, którym chciałby zagrać spowrotem i opowiadać bez końca o swojej ukochanej rodzinie, o mądrym synu Pawle i ślicznie tańczącej Ewci, "no i o tym trzećmi już niedługo" śmieje się Artur.

"Ale o Szopenie tak bym chciał napisać", powraca do zaczętego tematu. Tyle rzeczy nikt jeszcze o nim nie powiedział. A tutaj cóż pozna go dzisiaj publiczność w hollywoodzkiej wersji. I zaczyna Artur z przyzabawną mimiką naśladować poszczególne sceny z filmu, powracając raz po raz do tego, jaki to Szopen w istocie był; i tak to, obok Szopena zreformowanego profesjonalnym ujęciem reżyserów — wyrasta w rozmowie ten prawdziwy, ponad wszystko umiłowany.

Nie raz i nie dwa będzie Artur Rubinstein do tego tematu powracał, aż spełni czekające go zadanie i napisze. I w ten sposób nazawsze powiąże nazwisko jednego z najgenialniejszych kompozytorów świata i jednego z najdoskonalszych jego odtwórców.

FRANCIS I. DuPONT & CO.
One Wall St., New York 5, N. Y.
Bowling Green 9-6000
MEMBERS
New York Stock Exchange
New York Curb Exchange
and Commodity Exchanges
"Opening an Account," a helpful
booklet on trading rules and practices,
is available to new and experienced investors.
Write for Booklet P-21
Service in Polish and other
European languages.

OPINJE I ZDARZENIA



Pogrzeb Kpt. Władysława Drelicharza

BRAWO PANIE MINISTRZE!

Nowy nasz minister informacji p. Adam Pragier wygłosił na zebraniu Syndykatu Dziennikarzy Polskich w Londynie w obecności członków rządu mowę znakomitą, mowę, która powinna być przykładem właściwego tonu nowego naszego rządu. Rząd ten powinien mówić otwarcie, że Polacy się nie poddadzą — bo Polacy się rzeczywiście nie poddadzą i świat powinien być uprzedzony, że jeżeli będziemy zmuszani do kapitulacji nic z tego dobrego dla świata nie wyjdzie — a przeciwnie największy kłopot. Pan Pragier oddawna to rozumie i zostawszy ministrem powtórzył to samo, co zawsze mówił przedtem, stwarzając doskonałe polityczne wrażenie, że ze zmianą ludzi, zmieniło się też coś zasadniczo w polskiej taktyce. Brawo Panie Ministrze! I bardzo prosimy nasze urzędy propagandowe, aby pilnowały, żeby mowy tego rodzaju znajdowały echa w tutejszej prasie. Bardzo pięknie prosimy.

GENERAL SOSNKOWSKI NA KONCERCIE RUBINSTEINA

Generał Sosnkowski jest nie tylko najświetniejszym z żyjących bojowników o niepodległość, współtwórcą wraz z Piłsudskim polskiego ruchu zbrojnego, bohaterem trzech wojen polskich; nie tylko jest on symbolem walki o prawdziwą wolność, całość i niepodległość Polski — jest on zarazem jednym z Polaków najbardziej pełnych duchowo, przesiąkniętym najpiękniejszymi tradycjami polskiej kultury i jak wszyscy ludzie naprawdę wyższego rzędu — prawdziwym

humanistą, głębokim znawcą i miłośnikiem sztuki. Nic co jest naprawdę cenne w polskiej i zagranicznej literaturze nie jest Generałowi nieznanne, całe stronicie wierszy zna Generał na pamięć, nie opuścił on nigdy żadnego ważnego wernisażu malarzkiego, przedewszystkiem zaś żadnego koncertu ulubionego artysty lub zawierającego utwory ulubionych mistrzów Generała: Generał Sosnkowski sam gra nie po amatorsku na fortepianie i przed wojną stał w Polsce na czele szeregu instytucji i inicjatyw, mających na celu szerzenie kultu muzyki, kultu Chopna przede wszystkim i pomoc dla młodych artystów. Nic też dziwnego, że przybywszy do Nowego Jorku wyraził odrazu życzenie usłyszenia Artura Rubinsteina i polecił zdobyć koniecznie już bardzo niełatwe do dostania

na parę dni przed koncertem bilety na jego występ.

Wśród hucznych oklasków, które dziękowały Arturowi rubinsteinowi za jego grę doskonale mądrą i natchnioną — nie było huczniejszych od dochodzących z łoży, gdzie Wódz Naczelny Armji Polskiej słuchał ze skupieniem admiratora i znawcy zarówno uwielbianego przez siebie Chopina jak też ulubionych Hiszpanów — de Falla i Albeniza.

NOWY PISARZ

Od pewnego czasu w przełomowych dla sprawy polskiej momentach ukazują się w "Nowym Świecie" doskonałe, pełne ognia i zarazem rzeczowych nieodpartych argumentów artykuły Księdza Alfonsa Skonieckiego. Te artykuły są publicystyką najpiękniejszej klasy, mającą nie tylko jednoznaczne doraźne polityczne znaczenie, ale i istotną wartość literacką. Pozwalają też nam one powitać w osobie Księdza Skonieckiego nieustępliwego, pełnego odwagi obrońcy praw Polski — zarazem urodzonego pisarza politycznego, który siłą swego przekonania i swym talentem coraz ważniejsze miejsce zajmuje w pierwszym szeregu przywódców Polonji Amerykańskiej.

ZBIOROWY MICKIEWICZ PO ANGIĘLSKU

Już się ukazało pomnikowe wydanie Mickiewicza po angielsku. Jest to gruby blisko pięćsetstronicowy tom, wyszły nakładem Polskiego Instytutu Naukowego w Nowym Jorku i zawierający przekłady różnych tłumaczy, zebrane przez niezmordowanego prof. Noyesa, i poprzedzone jego oryginalnym i wnikliwym studjum o Mickiewiczu. Zarówno prof. Noyes jak Instytut Naukowy dokonali, wydając

JUŻ CZAS NA ZAKUP KART ŚWIĄTECZNYCH

WIELOBARWNE KARTY ŚWIĄTECZNE WEDŁUG RYSUNKÓW WYBITNYCH ARTYSTÓW POLSKICH

komplet składający się z 12 kart 10c — — — \$1.00

komplet składający się z 12 kart 15c — — — \$1.50

do nabycia u wydawcy:

E. MORTKOWICZ - MARKOE

33 Wst 42nd Street

New York, N. Y.

Karty zostaną dostarczone natychmiast po otrzymaniu należności czekiem lub przekazem pocztowym.

tego zbiorowego Mickiewicza czynu niezwyklej wagi dla naszej kultury. Wraz z dawniej wydanym "Panem Tadeuszem" stanowi nowy tom zbiorową edycję wszystkich prawie najwybitniejszych dzieł poety — są w nim bowiem "Dziady", "Konrad Wallenrod", "Grażyna", "Księgi Narodu i Pielgzymstwa", "Ballady i romanse" oraz ważniejsze liryki. Zanim pióro specjalisty wypowie się o wartości poszczególnych tłumaczeń i wadze studjum prof. Noyesa — sygnalizujemy narazie "amerykańskiego Mickiewicza" jako książkę, którą powinniśmy mieć wszyscy na swoim stole i z którą winniśmy zapoznawać naszych tutejszych przyjaciół.

MUNDUR ŻYMIERSKIEGO

Podobno w czasie ostatniej wizyty b. premiera Mikołajczyka w Moskwie pilot, prowadzący jego samolot został zagabnięty przez Michała Rolę-Żymierskiego, następującą złośliwością:

"To nie jest polski mundur, to co pan nosi. To jest mundur angielski. Ja ani moi żołnierze nie nosilibyśmy nigdy podobnego".

I Żymierski wskazał z dumą na swój mundur, który jak wiadomo jest bardzo zbliżony do mundurów armji polskiej z przed września 1939 (trick propagandowy sowiecki).

Pilot popatrzał na odznaki generała, różniące się nieco od tych, jakie armja polska przed wrześniem nosiła i odpowiedział:

"Pana mundur nie jest przepisowy. Myśmy przed wojną nosili inne odznaki. Ale o tem pan nie może zupełnie wiedzieć, bo był pan wtedy zagranicą."

NA MARGINESIE KONCERTU WSPÓŁCZESNEJ POLSKIEJ MUZYKI KAMERALNEJ

Staraniem Komitetu Muzyków Polskich odbędzie się, po raz pierwszy w Nowym Jorku, Koncert Współczesnej Polskiej Muzki Kameralnej. Koncert będzie miał miejsce 18 grudnia, w sali Times Hall i udział w nim wezmą: jeden z najlepszych zespołów kwartetowych amerykańskich Gordon String Quartet, świetny pianista polski Mieczysław Horszowski, znany skrzypek Borys Schwarz, soliści orkiestry N. Y. Philharmonic Symphony, John Wummer, flet, i Simon Bellison, klarnet, oraz kompozytor Karol Rathaus, który wykona partję fortepianową we własnym utworze.

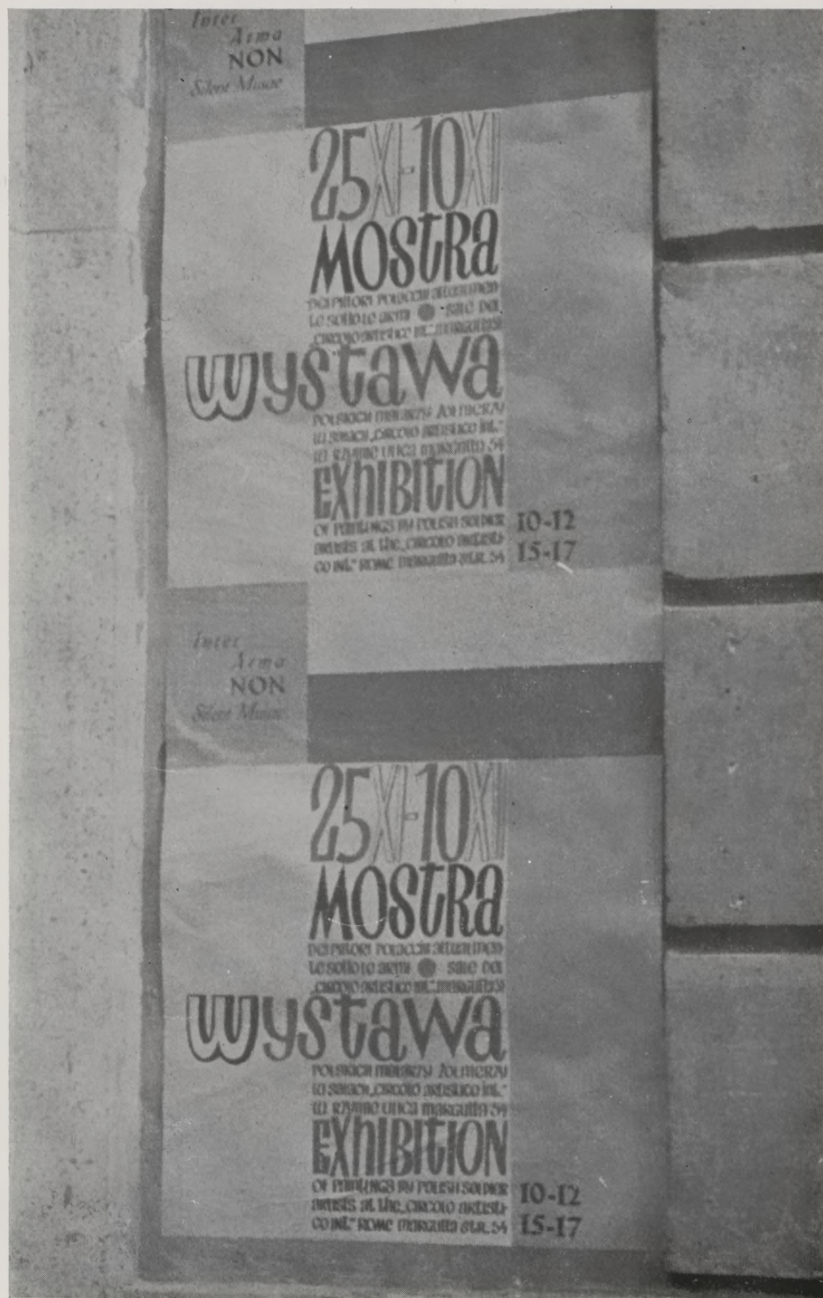
Program zapowiada się niezwykle interesująco gdyż zapozna publiczność z dorobkiem kameralnej muzyki polskiej od Karola Szymanowskiego, przedwcześnie zgastego wielkiego mistrza polskiego, do najmłodszych, których reprezentuje Antoni Szałowski.

W programie, poza utworami wyżej wymienionych, dzieła trzech prze-

bywających obecnie w Nowym Jorku kompozytorów: Jerzego Fitelberga, Feliksa Łabuńskiego i Karola Rathausa. Koncert rozpocznie się Trzecim Kwartetem smyczkowym Antoniego Szałowskiego, wielce utalentowanego młodego kompozytora, miejsce pobytu którego w obecnej chwili nie jest niestety znane; będzie to pierwsze wykonanie tego utworu na estradzie koncertowej w Ameryce, gdyż poprzednio był wykonany tylko przez radio (Na Festiwalu Twa Międzynarodowej Muzyki Współczesnej w

1941, w Nowym Jorku). Skomponowany w 1935 roku, został wykonany z wyjątkowym powodzeniem w Paryżu w 1936.

Następnie wykonane będzie przez Wumera i Horszowskiego Divertimento na flet i fortepian Feliksa Łabuńskiego — jest to jedyny znany utwór polski skomponowany na te dwa instrumenty. Skomponowany w Warszawie w 1935 r. był po raz pierwszy wykonany w Nowym Jorku przez znakomitego flecistę George Barrere, później przez doskonałych



Afisz wystawy malarzy-żołnierzy
Drugiego Korpusu



Wystawa malarzy-żołnierzy
Drugiego Korpusu

Rene Le Roy i Lambros Callimahos. Pierwsza część programu zakończona zostanie przez pierwsze wykonanie Tria na skrzypce, klarnet i fortepjan Karola Rathausa (Borys Schwarz, Simon Bellison i kompozytor). Dzieło to powstało w ciągu lata b. roku podczas wywiezawstwa w New Hampshire.

W drugiej części programu zapoznamy się z rzadko tu grywanymi utworami fortepjanowymi Szymanowskiego w wykonaniu Mieczysława Horszowskiego; drugi numer z "Masek" op. 34 zatytułowany "Tantris le Bouffon", oraz 4 Mazurki z ostatniego zeszytu op. 50, Koncert zakończony będzie pierwszym wykonaniem Trzeciego Kwartetu Jerzego Fitelberga. Utwór ten został napisany w 1936 roku, w Paryżu, jednocześnie z nagrodzonym przez "Elizabeth Coolidge Prize" czwartym kwartetem; pierwsze wykonanie miało miejsce w Paryżu, w 1937, przez "New Hungarian Quartet".

Wyjątkowy ten program powinien wywołać jaknajwiększe zainteresowanie miłośników muzyki kameralnej, oraz wszystkich komu zależy na rozwoju i rozpowszechnieniu współczesnej muzyki polskiej.

LISTY DO REDAKCJI

San Francisco 11,28,44.

Szanowny Panie:

Artykuł pana Józefa Czapskiego pod tytułem "An open Letter to Jacques Maritain and Francois Mauriac", umieszczony w numerze 45-ym "Tygodnika Polskiego" jest jednym z najlepszych streszczeń sprawy stosunków polsko-sowieckich i najskuteczniejszym odwetem tym, którzy sięją kłamstwo i obelgę o bohaterstwie Warszawy i jej walczących bojownikach.

Taki artykuł zasługuje na jak najszerszy rozgłos między tymi, którzy są źle poinformowani o sprawie Polski i których zdania powinny być sprostowane.

Mamy tu takich niemałe grono. Prosiłbym Szanownego Pana o przysłanie mi przedruku tego artykułu do rozesłania tym, którzy nie mają dostępu do prawdopodobnych źródeł skąd mogliby czerpać informacje o tak ważnej i wielkiej rzeczy jaką jest Polska.

Załączam dolara na opłatę artykułów.

Z poważaniem
Jan Russley
San Francisco, California.

"TYGODNIK POLSKI"

POSZUKUJE

PRZEDSTAWICIELI

WE

WSZYSTKICH MIASTACH
STANÓW ZJEDNOCZONYCH

Tak bardzo zasłużony Drugi Korpus we Włoszech zwrócił się do nas z prośbą o wyszukanie następujących książek Jana Wiktora:

"Wierzy nad Sekwaną"

"Orka na Ugorze"

"Błogosławiony chleb ziemi czarnej".

Prosimy o łaskawe zgłoszenie wraz z podaniem warunków sprzedaży.

Helena Rubinstein PUDRY DO TWARZY



Indywidualne mieszanki dla suchej, normalnej i tłustej cery w sześciu pięknych odcieniach

RACHEL
PEACHBLOOM
MAURESQUE
CHAMPAGNE BISQUE
SUN TAN
ROAL TAN

Od \$1.00 do \$7.50
(plus podatek)

Ktokolwiek wiedziałby coś o losie
MARJI WIERZYŃSKIEJ
ze Lwowa, wywiezionej do Rosji w maju 1941 roku, proszony jest o łaskawą wiadomość pod adresem:
Kazimierz Wierzyński
101.07 Ascan Avenue
Forest Hills, New York

POTRZEBA
CZYSZCZĄCYCH - SPRZĄTACZY
do dużego budynku biurowego. \$37.00
wraz z "overtime"
Zwrócić się do:
PANA INGE
70 Pine Street
New York City, N. Y.